Lwów, 26. Października. Nr 128. Rok 1854.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłatą 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

DZIWO-ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XIV.

(Ciąg dalszy)

Zdarzenie to było dostatecznem do odżywienia na nowo Burki sił, zwątpieniem już cokolwiek zmęczonych. Zaczął więc na nowo swoją robotę i zaraz następnej nocy zasiadł w klombie w ogrodzie. Lecz siedział tam kilka godzin i znużył się już ogromnie, a ani szmer nawet żaden nie doszedł do jego uszu. Ta cisza jednostajna dopomogła nakoniec tak dobrze jego znużeniu, że kiwając się w tę i ową stronę, nakoniec oparł się o gęstwinę i zasnął. Ażeby można tak długo spać na gałęziach, trzeba być ptakiem koniecznie a Burka nim nie był, więc chrapnąwszy raz, drugi i trzeci, przeważył sobą wiotkie pręty drzew młodych, padł ciężko na ziemię i zbudził się. Kiedy oczy dobrze otworzył, zaraz go uderzyło jakieś światełko w pałacu. Z początku niemógł on wcale odgadnąć, gdzieby się znajdowało to światło, ale niebawem uderzył się ręką w czoło i rzekł do siebie: O głupi Burko!

Jakoż zarzut ten mógł on sobie w tej chwili uczynić z słusznością. Światełko to bowiem nie biło zkąd innąd, tylko z owej łazienki, która się znajdowała wprost pod hrabiny sypialnią i była z nią połączona kręconemi schodkami, a z tej łazienki wyprowadzały małe drzwiczki na ogród. Rzecz więc była naturalna i prosta, że jeżeli jakiś ptak obcy wlatywał do pałacu, to tylko przez owe drzwiczki, a jeżeli gdzie odbywały się schadzki, to tylko w łazience.

To wynalazłszy Burka, zażył z tryumfem tabaki i przystąpiwszy pod sam taras, który się wyciągał równolegle z temi drzwiczkami w tem miejscu, wydrapał się po drzewie brzoskwini tak wysoko, że sam był ukryty a głowę wyścibił nad taras. I tak patrzał prosto w drzwiczki łazienki. Lecz w tejże chwili drzwiczki się otworzyły, światełko błysnęło cokolwiek mocniej a przy niem widział Burka na swoje własne oczy wychodzącego ztamtąd huzara, który zbiegł prędko na dół pochyłym bokiem tarasu, zniknął w ciemnościach ogrodu a w chwilę potem słychać już tylko było gdzieś w dali tętent galopujących dwóch koni. Przez ten czas stała w drzwiczkach Adela, ubrana w bieli, lecz jak tylko tętent koni dał się słyszeć na drodze, drzwiczki się z ostrożnością zamknęły i światełko zagasło.

To wszystko widział Burka na własne oczy, — i tego tylko mu było potrzeba. Więc zaraz na drugi dzień rano poszedł on do Edmunda z niewzruszonem przedsięwzięciem powiedzenia mu wszystkiego, co słyszał i widział. Zdawało się Burce, że aby złemu zapobiedz, środek ten był najlepszy. Złapie się ptaszka, — mówił on do siebie, — sprawi mu się łazienkę, pani się da *ad intende* i będzie potem cisza i spokój na wieki. Taki-by zapewne skutek sprawiła była podobna wiadomość u Burki, ale Edmund był całkiem innym człowiekiem. Na to wszakże wcale nie zważał Burka i przedsięwzięcie swoje postanowił wykonać. Atoli rano jakoś nie było sposobności potemu. Rozmowa zaczęła się od gospodarstwa, przeszła potem na fabryki a nakoniec zaczęli przychodzić ludzie i tak czas zeszedł aż do samego południa.

Po południu przyszedł znów Burka do pokoju Edmunda, zastał go w nim samego, obłożonego xiążkami, których jednak nie czytał, tylko tak jakoś przy nich ciężko był zamyślony. Zdawało się Burce, że już sposobność ma w ręku. Atoli Edmund w tej chwili w jakiemś dziwnie rzewnem był usposobieniu. Kazał on mu usiąść naprzeciw siebie i zaczął się przed nim wynurzać ze swemi uczuciami.

— Słuchaj mnie Burko! — mówił on do niego, — wiele teraz myślę o sobie i doprawdy nieraz sam niewiem, jak te myśli zakończyć. Za młodszych lat moich marzyły mi się różne rzeczy po głowie. Zdawało mi się, że widziałem przed sobą jakieś wielkie nieuprawione obszary, jakieś drogi prowadzące gdzieś w nieskończoność, jakieś stanowiska w społeczeństwie, które dotąd są opróżnione, jakieś trudy i walki, potem sławę i nieśmiertelność, — i zdawało mi się, że sam Bóg włożył na mnie obowiązek wybrania sobie jednej z dróg tych, pełnych najświetniejszej przyszłości, uprawienia jakiegoś takiego obszaru, zajęcia jakiegoś takiego stanowiska i przez trudy i walki życia, zdobycia sobie choć tyle sławy, ażeby przodkowie moi, kiedy mi przyjdzie wstąpić w ich koło poważne, przynajmniej tego mi nie mogli uczynić zarzutu, żem przeżył życie daremnie. Taki cel ostateczny nadałem wszystkim moim uczuciom i myślom, to święcie wypełnić, przysiągłem przy skonie mojego ojca, to powtarzałem po wielekroć staroścince mej babce, która we mnie pokładała wszystkie

swoje nadzieje. I ja już kreśliłem sobie plany mojego zawodu, i chwytałem się pracy, i doświadczałem sił moich, — ale było coś jeszcze we mnie, co mi stawało na drodze. Byłem jeszcze za nadto niedoświadczony i młody, krew miałem wrzącą i zanadto burzliwą, za mało silnej woli i umiejętności panowania nad sobą, — i dosyć było lichej pokusy światowej na to, ażeby mnie wyrzucić z koła mych myśli poważnych i wielkich przedsięwzięć.

— Pokusy światowe, panie, — rzekł na to Burka,— szatańską moc mają nad ludźmi.

— Ale jam się jeszcze w czas opamiętał, — prowadził dalej Edmund, — i wiedziałem, co zrobić ze sobą. Potrzeba mi było tarczy od pokus, potrzeba mi było spokoju duszy a to oboje, jak mi powiadali ludzie starzy i doświadczeni, najpewniej się osiąga w małżeństwie. I jam się ożenił — i byłem pewny, że już w kilka miesięcy po ślubie cel mój będzie osiągnięty zupełnie. Myśli moje oczyszczą się z wszelkiej piany wirującego świata i staną się czyste i jasne, jak morza spokojnego źwierciadło, uczucia moje się uspokoją, wzmocnią i popłyną w wspaniałych falach przeznaczonem dla siebie korytem, i zgoła duch mój cały stanie się silnym jak olbrzym, spokojnym i chłodnym jak posąg spiżowy, energicznym i przedsiębiorczym jak mąż, przeznaczony stać się ogniwem pomiędzy epoką krwawej niedoli i jasną jak niebo pogodne przyszłością. Ale ja nie wiedziałem mój Burko, jak to młodość nasza jest krótką, jak znikome są nasze rozumy, jak serca nasze są słabe! ja nie miałem o tem wyobrażenia, jak ciężkim złudzeniom wzrok naszej duszy podlega i jak często w jego źrenicy ostateczne cele życia zamieniają się w środki! ja nie miałem pojęcia, czem się stać może kobieta i jak wielką jest władza miłości, kiedy ją błogosławieństwo boskie uświęci, kiedy ją lata utrwalą i kiedy wszystkie potrzeby naszego życia jej kierownictwa nad sobą dopuszczą.

— Miłość małżeńska, panie, — rzekł na to Burka,— kiedy ją Bóg błogosławi, staje się koroną naszego życia.

— Tak! koroną, — zawołał Edmund z uczuciem, — i patrz, jak świetną, jak błyszczącą stała się ona dla mnie koroną! Widziałeś ty kiedy tyle szczęścia, tyle złotego spokoju, tyle niebieskiej pogody, ile jej widzisz u mnie? Ja rzeczywiście nie wiem, czem'em sobie na to wszystko u pana Boga zasłużył? Mówię wyraźnie wszystko, bo w samej rzeczy, to co ja teraz doświadczam, jest już wszystko, co Bóg może dać człowiekowi w tem życiu. Szczęście i szczęście bez końca. Wiedzie mi się, jak nigdy i nigdzie nikomu. Co mi się przyśni tylko, to wszystko się staje. Odebrałem dobra zniszczone, obciążone długami, zagmatwane setkami pretensyj; kto inny był-by z tego nigdy nie wylazł. Ja w trzech leciech spłaciłem dwie trzecie części długów, wyrestaurowałem pałac od fundamentów, popostawiałem tyle budynków, tyle innych poczyniłem nakładów, i na to wszystko skądeś się znalazły pieniądze. Sprzedało się wprawdzie dobra podolskie Adeli, ale tego kapitału się nie zużyło, tylko się nim zapomogło i powróciło, a Adela ma dzisiaj sześćdziesiąt tysięcy w gotówce. Pozałatwiało się przytem wszystkie dawne pretensye, podawało się gracye, pozapomagało się chłopów i dzisiaj, żebyś szukał przez sto dni i nocy, to w całych dobrach moich nie znajdziesz ani jednej chatki, w której-by chleba nie było. Poza prowadzało się po folwarkach stadniny i zaczynamy już przychodzić do koni wybornych, które może kiedyś staną się sławnemi w prowincyi, bydło nasze już dzisiaj znane jest o mil kilkanaście w około, za wełnę z naszych owiec bierzemy o czwartą część więcej, niż wszyscy sąsiedzi, zboże nasze wyprzedaje się prawie wszystko na nasienie i jak długo gospodaruję, jeszcze ani jedna sztuka inwentarza nie padła, ani jeden dach nie zgorzał, ani jeden grad, moich pól nie nawiedził.

— A! już-to panie w tym roku, — zauważał sumienny Burka, — srokatą kobyłkę taki nam ukradli a i tej pszenicy, co to jest przy trzech kopcach, dobrze się po czuprynie dostało.

— Prawda, — rzekł na to Edmund, — ale obaczysz, że się kobyłka odszuka a pszenica się jeszcze zabierze. Bo już tak wszystko nam idzie po ręku. Ale mój Burko! cóż-to jeszcze jest to wszystko przeciwko temu, jaką mi pan Bóg dał żonę! Słuchaj staruszku! ty nawet nie masz wyobrażenia, co to jest za kobieta! Bo to śliczna jak anioł, majestatyczna jak królowa, dobra i naiwna jak dziecko, rozumna i dowcipna jak cała literatura a jaka przytem skromna i cnotliwa! Słuchaj mnie, pan Alexander, któren wiesz że jest zły jak gadzina i tak mnie nie cierpi, że gdyby mógł, to-by mi codzień dał zjeść funt arszeniku, a przecież mi nie mógł nic innego o Adeli powiedzieć, jak tylko to, że trzech huzarów, poznawszy ją bliżej, zwarjowali kompletnie i aż się posiekali pomiędzy sobą. Cha cha cha! to jest doskonałe! bo sam powiedz, czy może być przyjemniejszy komplement dla męża?

— Już tam ja panie, rzekł na to Burka, — wcale-bym sobie takich komplementów nie życzył. Miła to rzecz, piękną mieć żonę, ale zawsze podług mnie milsza, żeby była trochę mniej piękną a żeby się o nią ludzie nie kaleczyli.

— No! różne gusta, — podchwycił Edmund, — ale dla mnie to zawsze miła wiadomość, że się sami pomiędzy sobą wytłukają huzary. A przy tem wszystkiem patrz, jak ona mnie kocha. Zrazu ja myślałem doprawdy, że będę miał wiele kłopotu z tą kobietą, nim ją potrafię zrobić taką, jakiej mnie było potrzeba, — ale zaręczam cię, że nietylko ani jednego dnia nie strawiłem nad dawaniem jej jakiejś nauki, ale nawet żadnego zachcenia mego nie potrzebowałem jej nigdy dać do poznania. Ona tak mnie na wskróś odgadła od razu, tak rozpoznała dokładnie wszystkie myśli moje i wszystkie sympatye, że już w dni kil-

ka po ślubie była tak prawie, jak gdyby drugim mną samym. To też trzeci rok teraz już mija a jeszcze ani jednego nieporozumienia pomiędzy nami nie było, jedna chmurka nie zaćmiła naszego wciąż słonecznego nieba a o tej sympatyi, która dziś wiąże nasze serca ze sobą, o tem trwałem, spokojnem, głębokiem, niewzruszonem uczuciu, które spoiło nasze istoty w jedność nierozerwaną, ty staruszku nie możesz mieć nawet wyobrażenia. Jest to rzeczywiście coś takiego, co jakkolwiek jest ludzkiem, jednak w ludzkiej mowie nie ma dla siebie nazwiska. Bo nie jest to ani miłość gwałtowna, szalona, ślepa, namiętna, ani przyjaźń chłodna, ograniczona, ani samo przywiązanie, w które się miłość zwykle z czasem zamienia, nie jest to zresztą inne jakieś już znane uczucie, — ale jest to jakaś cudowna harmonia, zlana z najczyściejszych tonów najgłębszej miłości, uszanowania, przywiązania, braterstwa, tkliwości, delikatności, poświęcenia, zgoła z wszystkiego najlepszego, co może pomieścić w sobie serce człowieka, że się z tego zrobiła jakaś wspaniała tęcza wszech-uczuć, wiążąca nasze dusze ze sobą na ziemi, ale biorąca swoje tony i światła nie z ziemi, lecz z nieba.

— Przy takiej miłości, — mówił Edmund dalej, odetchnąwszy cokolwiek, — pojmiesz Burko, że trudno myśleć o czem innem, jak o swem szczęściu i tego szczęścia używać. Ja też przyznaję ci się otwarcie, żem przy tej kobiecie o wszystkiem innem zapomniał. Ona cały świat zasłoniła mi sobą. Moje sny wielkie, moje kolosalne marzenia, moje plany, zamiary, wielkość, sława i nieśmiertelność, wszystko to się gdzieś oddaliło, wybladło i rozprószyło. Zaledwie mogę widzieć moje gospodarstwo i sprawy domowe, i to tylko dla niej, bo ja dla siebie nic nie chcę i nie potrzebuję niczego więcej, prócz posiadania jej zawsze i nieodmiennie. Przez nią stałem się wprawdzie samolubnym cokolwiek, stacyonaryuszem a może kiedyś nawet wsteczne przybiorę zasady, ale przez nią także, jakże-to ja się podniosłem na sercu, o ile się uspokoiły dawne a niepotrzebne we mnie namiętności, ile nienawiści wygasło, ile cnót domowych się utrwaliło, ile duszy przybyło spokoju i czystego wzroku mojemu sumieniu! Ja kiedy dzisiaj czasem się zastanowię nad sobą, to doprawdy sam siebie nie poznaję. Ja, który dawniej myślą zaledwie dotykałem się ziemi, który miałem źrenicę tak wielką, że nią widziałem tylko kraje, narody, społeczeństwa, wieki i wieków dziesiątki, który prawie znać nie chciałem tak drobnego stworzenia jak człowiek, ja dzisiaj w jednej utopiłem się kobiecie, szczęście moje zamykam pomiędzy cztерema ścianami, uczucia mierzę naparstkiem, myślami mojemi ślizgam się po wstążkach i czasem fałd jeden u sukni, zwijający się zgrabnie, jeden fontaź zawiązany podług mojego gustu, przynosi mi tyle szczęścia i zadowolenia, jak gdybym naród cały wyjarzmił i usiadł na jego tronie. O Burko! Burko! czem my za młodu jesteśmy, a czem stajemy się z wiekiem!

Po wysłuchaniu takiej spowiedzi Burka wstał z swego krzesła jak głupi. Przez chwilę stał on w głębokiem zdumieniu i milczał, lecz potem, ocucony jakiemś zapytaniem swojego pana, powiedział kilka sensów poważnych o znikomości ludzkiego szczęścia, o przewrotności srogiego losu — i wyszedł. Żal mu było tej sposobności, tak dobrej do opowiedzenia Edmundowi, jak mu się żona wywdzięczała za tyle miłości, — ale nie miał serca po temu. W takiej chwili rozedrzeć i zakrwawić serce ludzkie, uniesione uczuciem szczęścia, zdawało mu się być prawdziwem katowstwem.

Wszakże i drugiego dnia jeszcze, jakkolwiek postanowienie jego było silnem i zdawało się niewzruszonem, nie czuł on jeszcze w sobie odwagi do zdarcia zasłony z Adeli i rozczarowania Edmunda, i namyślał się nad tym wypadkiem, a im więcej się nad nim namyślał, tem więcej chwiał się i miewał już chwile, w których go taki żal za dotychczasowem szczęściem swojego pana porywał, że chciał już bieg tej sprawy zostawić jej własnemu losowi i zamknąć usta na zawsze. Ale u starych ludzi raz powzięte postanowienie jest zawsze silniejsze, niżeli wszystkie chwilowe choć-by jak głębokie uczucia. To też i Burka jeszcze tylko przez dwa dni dał panować nad sobą żalowi, a dnia czwartego otrząsł się zeń po męsku i do wykonania swojego postanowienia stanowczo przystąpił; do czego może jeszcze więcej niż jego męska ambicya przyczyniło się to, iż przez wszystkie trzy noce następne, wstawał regularnie o godzinie dwunastej, szedł do ogrodu na taras i zawsze na własne oczy widział to samo światełko w łazience.

Otóż działo się to w godzinach popołudniowych, w gabinecie Edmunda. Mąż Dziwo-żony siedział pomiędzy xiążkami, jak to zwykł był czynić o tej porze zwyczajnie, i silił się nad czemś ze sobą samym, czy-to nad jakiemiś ciemnemi i dalekiemi myślami, które na żaden sposób nie chciały jego zapalonej, lecz niestety zawsze jeszcze w połowie próżnej głowy opuścić, czy-to nad uczuciami swojego urojonego szczęścia, które także podobno w większej połowie mieszkało w jego głowie, chociaż źródło swe miało w istocie w sercu. Tak zamyślonego zastał go Burka. Lecz tym razem, przestrzeżony już niedawnem doświadczeniem, nie dopuścił on go do słowa, tylko zaraz na wstępie zapowiedział solennie, że przychodzi udzielić mu wprawdzie bardzo smutnego, ale ważnego sekretu. Czem zwróciwszy na siebie uwagę Edmunda, zaczął po staroświecku rozwodzić się najpierw nad przyczynami, które go spowodowały do tej bardzo dla niego bolesnej, ale nie mniej przeto koniecznej missyi, której spełnienie dziś przedsiębierze.

Ale Edmund był człek gorący i niecierpliwy, i w naj-

ważniejszych nawet sprawach długich korowodów nie lubiał. Chwycił więc Burkę za klapę, wziął go surowo na oko i stał się natychmiast sam panem rozmowy. A kiedy się to stało, rzeczą jest oczewistą, że zamiast obszernego opowiadania, do którego się stary Burka przygotował mozolnie, nastąpiło tylko kilko zapytań ze strony pana, kilka odpowiedzi ze strony sługi — i cała tajemnica została wykryta.

Na taką wiadomość, udzieloną otwarcie, wyraźnie i przez naocznego świadka, nieszczęśliwy małżonek stanął jakby w głaz zamieniony. Jego ręka ścisnęła konwulsyjnie trzymaną klapę kapoty Burki, włosy mu powstały na głowie a jego oczy stanęły słupem i wpatrzyły się jak-by trupie w nieruchomą twarz Burki. Zdawało się, że na widok takiego nieszczęścia cała massa krwi się w nim zatrzymała i skrzepła, jak-by na widok upiora. Lecz po chwili oczy jego dzikim zabłysnęły płomieniem, twarz zbladła i przeciągnęła się, ruch rozpaczliwy załamał jego ręce a z ust zesiniałych wydobyło się tylko to jedno słowo:

— Okropność!

Uczucie, które objęło w tej chwili tego dotychczas tak szczęśliwego małżonka, musiało być rzeczywiście okropnem, wszakże już sam widok jego był tak przerażającym, że się go przeląkł nawet spokojny Burka i zaczynał już jakieś perswazye. Ale o perswazyach nie mogło być ani mowy. Edmund bowiem, śród najpiękniejszej pogody przerażony tak straszną błyskawicą, miotał się pod jej wrażeniem jak wściekły. Jakie było jego wewnętrzne usposobienie w tej chwili, można sobie wyobrazić z łatwością. Od ślepej wiary w wiadomość Burki przerzucał on się w stanowcze zwątpienie i znowu na powrót; wszystkie myśli i wszystkie uczucia poruszyły się w nim od razu i wzięły go na srogą torturę. Widać było po nim i żal i gniew, i wściekłość i rozpacz, i łzy i westchnienia, następujące jedno po drugiem i mieszające się z sobą. Burka go uspakajał jak mógł i napominał, że należy być mężem w każdej chwili i cokolwiek przeznaczenie przynosi, umieć znosić z odwagą i siłą. Edmund za napomnienia rzucał się na Burkę, kpał go i rwał się co chwila, ażeby polecieć do żony i zabić ją, zdusić, rozedrzeć, — ale Burka umiał go zawsze powstrzymać i przekonawszy go dowodnie, że trzeba wytrwać spokojnie do pólnocy, ażeby tę sprawę stanowczo rozstrzygnąć, uspokoił go przynajmniej o tyle, że drżący jeszcze cały i wewnątrz kipiący Edmund, usiadł w fotel przy biórze i słuchał na pozór cierpliwie, co mu powiadał zafrasowany strasznie, lecz zawsze przytomny Burka.

I tak minął czas aż do zmroku. (D. c. n.)

GWIDO.

przez **Henryka Jabłońskiego.**

(Ciąg dalszy)

X.

Nad senną rzeką senny kwiat we wianki
Splata się wonne, i odbity falą
Na każden rąbek rzuci tęcz równianki;
W głębi źwierciadeł brzegi się krzyształą —
I śród zarośli chata mej kochanki,
W ramy wód srebrnych jak w konchę opalą,
Oprawna świeci. Nad nią gaj mirtowy
I pomarańcze trzęsą białym kwiatem,
I bluszcze wonne do snu kłonią głowy,
I sad jabłkami nęci i granatem;
Kobierce łąki okrył deszcz perłowy,
Że świecą śniegiem i zorzy szkarłatem.

Angelo moja! uśpiona w tej chwili
Główka twa jasna na śnieżnej pościeli,
Niesłyszy ptaszka, co nad tobą kwili,
I sny poranne wonnym kwiatem bieli,
I tęcze rzuca, by we śnie świeciły
Nad twojem łożem, jak święci anieli.

Oto okryty różą i powojem
Wyśpiewam serce w melodyjnych tonach,
Zadzwonię tobie dźwięków srebrnym zdrojem —
I pieśń ma spłynie w cichych snu osłonach,
I będzie drżała tak nad sercem twojem,
Jak lampy wonne przy świętych madonnach,
Jak pieśń słowika w wawrzynowym gaju.
Spiąca pomyślisz, że ci anioł śpiewa
Kochanka imię, że w marzonym raju
Nucą anieli przemienieni w drzewa,
Że snem czarownym śpisz w czarownym kraju,
A po eolskich harfach wiatr powiewa.

Cicho! — już duch mój zaklęty we dźwięki
Na brylantowe rozsypał się tony,
Ze strón mych wieją uśmiechy, to jęki,—
A o miłości mówią wszystkie strony,
Każde skinienie czarnoksięskiej ręki
Stwarza świat nowy, uroczy, pieszczony!

Pieśń, którą tobie śpiewam Angelino,
Powtórzą wszyscy świata kochankowie,
I mnie i tobie, choć wieki przeminą,
Czarem wiać będzie na grobu wezgłowie;
Zawsze tym skałom, tym falom, co płyną,
O mnie, o tobie, nocne echo powie. —

Lecz otóż idzie, płynie w śrebrnej rosie,
Jak anioł wdzięków, jak obłoczek biała, —
Rosa drzy blada na rozwianym włosie.

—«Angelo moja! — zorza nie wstawała,
Gdym ja tu przyszedł i w czarownym głosie
Muzyki zaklął, żeś we śnie myślała,
Że anioł śpiewa. Przyszłaś *mia cara!*»

—«Myślałam luby we śnie rozmarzona,
Że śpiewa pacierz Violetta stara.....
Lecz słucham... skrzypce — wstaję zatrwożona
O twoje zdrowie. Jak nocnica, mara,

Błądzisz po nocy, — twoja narzeczona,
Prosi: O, nie chodź! nieraz klnę to granie;—
Muzyka piękna! ale droższe zdrowie...
Co mi po skrzypcach, gdy ciebie nie stanie?
Kto mnie uściśnie? kto tak słodko powie:
Angelo moja!?
Chodź, chodź na śniadanie!
Lepiej tu w krzakach śpiewają ptaszkowie.»

I drobną rączką wzięła mię za rękę,
I szybko łąkę mijamy zieloną,
A echo kończy zaczętą piosenkę,
I krwawi serce nutą nieskończoną.

Ona się pieści, a ja czuję mękę,
Ona ma serce,— ja duszę natchnioną...

Gdzie ja za jeden akord pełen siły,
Melodji pełen, co serce wypowie,
Żywybym wstąpił do czarnej mogiły:
Tam ona szepce; «Kochany, a zdrowie?!»—
Gdzie niebem wszystkie struny przemówiły:—
Tam dla niej lepiej śpiewają ptaszkowie.

(C. d. n.)

O POLSKIEJ KRYTYCE

przez

Antoniego Sozańskiego.

Nim estetyka została w całokształt na wzór innych gałęzi wiedzy filozoficznej zebraną, jak wszędzie tak i u nas chodziła krytyka luzem, a dzieło H. Homego: „*Elements of Criticism*” r. 1762 zjednało sobie niezasłużone podziwienie. Później a mianowicie w Niemczech oceniano każdy utwór pięknej literatury według prawideł panującej filozofii, a gdy i to się zużyło, wzięto do pomocy historyę; obszerne życiorysy autorów, dzieje polityczne, i religijne państw zawikłania, służyły za przyprawę do rozbiorów, opartych na suchych rozumowaniach, i tak powstały dzieła historyczno-literackie.

Literatura polska posiada wielki szereg szacownych dla krytyki dzieł, lecz nie jest zamiarem, tu o wszystkich zdać sprawę, owszem omijamy dzieła ściśle bibliograficzne, naprzykład Lelewela, Jochera, lub należące do bibliograficznego kierunku, jak Załuskiego biblioteka, Juszyńskiego dykcyonarz i t. p.; omijamy hr. Ossolińskiego «wiadomości historyczno-krytyczne”, dzieło wielkiej wagi dla historyka i historycznego literata, ale mało zawierające estetycznego posiłku. Z żalem omijamy także historye literatury polskiej; bo gdy bardzo nieznaczne są prace naszych krytyków na innem prócz na polu narodowej literatury i dopiero w najnowszych czasach usłyszy się niekiedy polskie zdanie o niepolskiej książce, zaś czasopisma są tylko konglomeratem różnych, niejednolitych myśli, pozostaje więc sama historiografia literatury polskiej jako główny skarbiec dla narodowej krytyki. Poświęcone jej dzieła mają kilka okresów. Długie czasy przeważały w polskich pismach historycznych genealogija i heraldyka; opuścić obok nazwiska jakiego męża urząd, który w rzeczypospolitej piastował i jego herb, było więcej jak uchybieniem; tak też jeszcze w Bentkowskim tłumi jakby na przekor lepszym wyobrażeniom bibliografia zdrowe o krytyce pojęcia; lexicograficzne wystawienie podaje już nieco więcej o istotnej wartości literatury, lecz jest kompilacyą; Mickiewicz wykłada swój kurs ze stanowiska polityki, a zbiór Wójcickiego poświęcony wypisom. Dzieła Wiszniewskiego i Maciejowskiego są najobszerniejsze w tym zawodzie; pierwszy pełniejszy w wypisy, drugi w krytykę; lecz piękny styl uczonego szkoły krakowskiej dziwnie odbija przy nieznośnym patryarchalizmie mowy uczonego warszawianina. Różni ich to także, że Wiszniewski nie nakręca myśli autorów do swoich dążności. Na koniec mamy także mniej obszerne historye naszej literatury jak Majorkiewicza, Łukaszewicza, Dąbrowskiego, Syrokomli, które się często rzuceniem nowego światła na swój przedmiot, lub innostanowiskowem pojęciem rzeczy odznaczają. Otóż wszystkie te pisma nie są tu rozbierane, a to dla tego, że nie są wyłącznie kierowane krytyką, o jakiej będzie mowa, krytyką estetyczną; w jednych nie masz jej całkiem, w innych poślednie zajmuje miejsce.

Krytyka filozoficzna, co do piękna nazwana estetyką, nie zawsze jest sprawiedliwą. Idąc za ideą, na której oparty jej system, całkiem się do niej stosować musi, a że systemata nowszej szkoły, najczęściej idealizują naturę, ubóstwiając przy tem człowieka, więc i estetyka poszła tym torem. Chcąc tedy mówić o krytyce estetycznej, trzeba ocenić system filozofii do którego działająca estetyka należy, co wszakże należy dziś w zakres historyj filozofij a później, gdy się więcej namnoży estetyk i więcej spospolitują filozoficzne nauki, będzie rozdziałem historyj estetyki. Dla tego do naszego zadania nie należą prace Kremera i Libelta, którym jednakże zasłużone ze wszech miar pochwały oddać należy.

Dzieje naszej krytyki w zakresie piękna, ściśle są połączone z postępem literatury, a jeśli naśladowanie obczyzny jest zabójcze dla twórczych myśli, stokroć szkodliwsze są skutki, gdy obce prawidła sztuki staramy się upowszechnić na ziemi swojej. Wtedy bowiem nietylko z nawyknienia ale z przekonania wynarodowiają się pisarze, a za nimi publiczność. Literatura polska, skoro się tylko zaczęła odradzać, przez całe panowanie Stanisława Augusta i przez 36 lat tego wieku, zostawała w stanie niewolniczego naśladowania klasycyzmu francuskiego i Bayrona, to też i krytyka polska była w owym czasie tylko odgłosem La Harpa lub wielbicieli angielskiego poety.

E. Słowackiemu należy zasługa reformy. Przejawszy się powstającą w Niemczech estetyką, powołany od Czackiego profesor, wykładał ją w Krzemieńcu, i starał

się pogodzić wymagalności filozofii niemieckiej z francuskiemi, a nawet i włoskiemi pojęciami o pięknie; ale lubo bliższy pozostał estetyki niż organicznej krytyki, zawsze wielki zrobił postęp w krytyce narodowej.

Byłoby zapewnie lepiej, gdyby własne uniwersyteta bez cudzoziemskiej pomocy, samodzielnie rozwijały każdą umiejętność chyba że jesteśmy skazani, nauczając w średnich wiekach przez akademią krakowską niemal całą Europę, poźniej sami od niej się uczyć; ale erudycya niemiecka niech kto co chce mówi, zawsze pozostanie lepszym od innych bodźcem do rozwoju przyrodzonych zdolności; jej drobiazgowy pedantyzm nie pęta ducha w tym stopniu, co konwencyonalizm francuski i jedyne abnormy które sprowadza i które nie łatwo dają się z naszym charakterem pogodzić są dwie: dążność abstrakcyjna i ciężki wykład. Ojciec naszego wielkiego poety, Juliusza Słowackiego, posiadał najgłówniejszą zasadę dobrego krytyka; prócz tego bowiem, że był panem własnych myśli, co od każdego lepszego pisarza żądamy, sumiennie badał i oceniał obce myśli, starał się poznać wieczyste sztuki prawa i niedał się uwieść jednostronnym zdaniom o filozofii swych kolegów, profesorów braci Śniadeckich. Mąż takiego rozumu godzien syna tego ognia co autor Jana Bieleckiego i takiego następcy w władaniu berłem krytyki jak Mochnacki.

Mochnacki był pierwszym który przeniósł nam najdroższe uczucia z pola poezyi na pole krytyki; sam zentuziazmowany starał się miarkować rozumem, i dla tego wszystkie jego dzieła odznacza prócz umiejętnego zestawienia treści i dobornego stylu także urok krasomowskiego przekonania, że broni zdeptanych praw; tą szlachetną własnością będzie po wszystkie wieki nasz galicyanin celował. Lecz gdyby się kto zapytał, gdzie jest znakomitszym Mochnacki w historyi czy w krytyce literackiej, trzebaby odpowiedzieć, że jako dziejopis opowiada wypadki, w których sam miał niepośledni udział, a jako krytyk ocenia utwory pisarzów sobie współczesnych i jednomyślnych. Na obu tedy stanowiskach mógł łatwo popaść w stronniczość, i wyznać musimy że tak się stało; naturalnie więcej w historyi powstania bo tu jest niejako autobiografem, niżeli w dziele o literaturze. (C. d. n.)

DZIECIOBÓJCA.

(Z opowiadań Antoniego Pietkiewicza.)

(Ciąg dalszy).

«Póki żył nasz baćko, to go trzymał w ryzie, a jednak już przebąkiwali ludzie, że to wielkie ladaco, że i rodziców nie szanuje, i z ludźmi jak z psami się obchodzi. To też zaraz po pogrzebie zagrał po swojemu!... Mój miły Boże! jeszcze wiatr nie wywiał z pokojów ostatniego tchnienia nieboszczyków, a on już się puścił na wszelkie swawole! Zdawało się, że jak kruk na śmierć ojcowską czyhał, że z upragnieniem tej pory wyglądał, w której się na wieki zamkną drogie rodzicielskie oczy, przed których jasnością, jak sowa przed słońcem, ukrywać się musiał z brzydką duszą swoją! Doczekał się wreszcie! I tejże niedzieli zciągnęła się czereda jarmarkowych przyjaciół i przyjaciółek, i jeszcze nie porosła trawą rodzicielska mogiła, a on już przehulał większą połowę gotówki!»

«Żebyż tylko hulał!... ale on niedobry zapomniał i o duszy rodziców swoich, i nie poszanował w niczem ich pamięci świętej! Żaden stary sługa, miły niegdyś państwu, nie został na miejscu, każdy z krzywdą i łzami wywandrował ze dworu, złorzecząc paniczowi; żaden stary zwyczaj nie wiódł się już dłużej! I w włości wszystko do góry nogami przewrócił!»

«I mnie z ekonomstwa zrzucił. Nie zrobił mi tem krzywdy, ale mi żal było poczciwej gromady, bo nad nią jakiegoś Niemca postanowił, co nie znał ni mowy, ni głowy, ni zwyczaju naszej włości; żal było i dziecka pańskiego, bom wiedział, że źle sobie poczyna, i serce poddanych dobrowolnie traci.»

«Chodziła gromada prosić, by po dawnemu mnie ekonomem zrobił, ale on nie posłuchał i batogami jeszcze pogroził. Wróciła z żalem i gniewem w duszy, i do późnej nocy pod moją chatą gwarzyła, radząc się, co począć? A młodsi i gwałtowniejsi to i pomrukiwali złowrogo, i odgrażali się na złego panicza.»

«Ja ich uciszałem jak mogłem, radząc, by szli sobie po dawnemu, i wspomniałem im starego pana i jego poczciwe serce, i mówiłem im, że on nie będzie miał pokoju w grobie, jak my buntować się będziemy. Gromada zrazu krzyczała: To syn jemu pokoju w grobie nie daje! lecz w końcu jakoś ucichła i po chatach się rozeszła.»

«Ale jak nowy ekonom zaczął po swojemu przewodzić a wydziwiać, a zdzierać, a głumić się z ludzi, jak panicz zaczął rządzić nowomodnie, tak już ja swoją radą nic nie poradziłem, i ledwie Janka powściągnąć mogłem. Nie było dnia bez jakiejś sprawy; batogi furami do dworu wożono, lud uciekał ze wsi, a panicz pędził w rekruty, w aresztanckie roty, w katarżnuju, albo na posełenie. I jeszcze złorzeczył pamięci dobrego ojca mówiąc, że nas porozpuszczał, i okoliczni panowie w ślad za nim krzyknęli: Nieboszczyk porozpuszczał chłopów!»

«Słyszeliśmy to, słyszeli! i serce u nas z żalu się krajało, i żeby pokazać, że on duszą krzywi bezbożnik, gotowi bylibyśmy cierpieć i znosić wszystko ciszej, niż wół w pługu, niż owca pod nożem; ale miły panie, nie można było, nie można! jak Bóg żywy w niebie!... Bo jużciż my dobrze wiedzieli, że nic nie pomożemy sobie ni hardem słowem, ni hardym uporem, ni szamotaniem się szalonem; ale, klnę się Bogiem, nie można było wytrzymać!... Możebyśmy w końcu i przywykli; wszak mówią panowie, że

chłop się na to już rodzi! I nie żałowalibyśmy ni naszych dostatków, ni naszego potu, ni krwi nawet naszej!.... płynełaby ona spokojnie, żeby chocia cześć nam zostawił; ale na cześć się targnał, i krew zakipiała!... Bezwstydnik! jak mu nie stało grosza na wybredniejszą rozpustę, zaczął psuć i krzywdzić żony i córki nasze!....

«Dobrodziej nasz, co z nieboszczykiem panem i radził i sadził o nas, nad poczciwością naszą pracował, którego bat'ko nasz miły szanował i za stan święty i za święte życie, widząc to, nie zważał na jego butę, nie zważał na pogardliwe przyjęcie; ale raz po raz chodził do niego, i prosił i groził, aby rozpusty zaprzestał, aby nie rozkrzewiał kąkolu na pięknej niwie, złotem zasianej ziarnem przez nieboszczyka ojca. A jak mu drzwi przed nosem zamknięto, to listy posyłał.»

»Nieupamiętał się panicz i rozzłoszczony podał do rządu skargę na dobrodzieja naszego, że niby to on źle się prowadzi, parafjan zdziera, krzywdzi i nie pilnuje. A nim komissja zjechała, on wezwał przedniejszych gospodarzy, a i mnie z niemi, nauczył jak mamy świadczyć przeciw dobrodziejowi naszemu, i obiecał z nas pozdejmować skóry, jeśli pod przysięgą tego nie powiemy. Wysłuchaliśmy w milczeniu i rozkazu jego i obietnicy, i z pokłonem odeszli.«

«Zjechała komissja, wzięli z nas przysięgę i badać zaczęli. A myśmy jednym zawołali głosem, rzuciwszy się do nóg jaśnie wielmożnym sędziom: ojciec to nasz najlepszy! całuteńka wieś zbiegła się przed okna, wołając: Nie krzywdźcie dobrodzieja naszego!»

«Nie wiem już, jakby tam było z paniczem, żeby nasz dobrodziej sam nie wstąpił za nim; ale źle było z nami. Jak tylko wyskrobał się z tej sprawy, tak zaraz tych co przysięgali, starców sędziwych, kazał przyprowadzić do siebie, i prawda, dotrzymał słowa: pozdejmował z nas skóry. Mnie się najwięcej dostało, bo wiedział, że mnie gromada jeszcze może więcej niż dobrodzieja i miłowała i słuchała, to też dwie niedzieli przeleżałem. Żebym tylko zechciał, oj! popamiętał-by on Koźmę; ale mu przebaczyłem swą krzywdę, dla świętej pamięci nieboszczyka ojca. A on i ukarał i nie przebaczył. Dał pokój mojemu ciału, a serce zaczął katować, zaczął Janka krzywdzić. Ach! co on biedny wycierpiał, co ja wycierpiałem za nim, co wycierpiała Zonia! Bogu to tylko wiadomo.»

«I nie tu koniec. Czy mu jeszcze dotąd Zonia nie wpadła w oko, czy duch nieboszczyka Artema nad nią niewidomie czuwał, dosyć że jej nie zaczepiał. Ale jednego razu Janką wzięli do dworu bić, już nie wiem za co, Zonia pobiegła za nim i paniczowi zaczęła pełzać po nogach, by mu przebaczył. Przebaczył... ale wolałby Janko, by go zabił do śmierci, a jej nie napadał.»

»Odtąd złagodniał panicz i dla mnie i dla Janka; zaczął jak i nieboszczyk ojciec do chaty mojej zaglądać, i niby to radzić się ze mną. Ja w prostocie serca pomyślałem sobie, że się mu ojciec przyśnił, a napomniał, to ot się poprawi; i radziłem szczerze, i tylko co nie rozpłakałem się z radości. Janko się tylko krzywił i z podełba patrzał na odwiedziny panicza, i Zonię wysłał z chaty, jak go tylko zajrzał jadącego. Ja go napominałem łagodnie, że się nie godzi tak długo złe ludziom pamiętać, że jakby nie było, to taki pan nasz i dziecko rodzone naszego bat'ka. On nic nie odpowiadał, a tylko wzdychał i brwi namarszczał. Ej! pokazało się wkrótce, że dobrze serce mu szeptało».

«Nasz panicz zrazu tak przyjeżdżał, żeby mnie zastać w domu i pogadać, a potem zaczął wypatrywać porę, kiedy ani mnie, ani Janka w domu nie było. Zajeżdża, wywoła parobka z chaty, żeby mu konia potrzymał, dziewczynę poszle na wieś wymyśliwszy jakąś potrzebę, i sam zostanie się z Zonią.»

«Patrzę ja, czego to moja droga Zonia tak posmutniała? Bywało rzeźwa jak ptaszek, a taka wesoła, że mnie staremu w smntku smutek nie przychodził na myśl a teraz czy to zaśpiewa, to tak żałośnie, jakby po nieboszczyku płakała, czy się zaśmieje, to jakby z bolu się śmiała. I ot kto wie czego; bywało, jak siedzę sobie wieczorkiem na progu chaty, to przyjdzie, usiądzie na ziemi przy moich nogach, oprze drogą główkę u mnie na kolanach, i jak zacznie płakać nieboga cichemi łzami, a ręce moje całować, to tak mnie rozżali, że i ja stary, jak dziecko z płaczu się zajdę. A tulę ją, a dopytuję się przyczyny smutku a może to, a może to, a może owo? — To tak ja sobie płaczę,—odpowiada bywało — nie trapcie się ojcze. Trudno mi było uwierzyć; jużciż człek tak sobie nie płacze, a od łez radośnych nie zapuchną oczy, jak u mojej Zoni. To i nie dawałem pokoju, a dopytywałem się ciągle. I raz biedaczka do nóg mi się rzuciwszy i zachodząc się od płaczu, zaczęła prosić, bym ją od panicza obronił, który jej pokoju nie daje z miłością swoją szkaradną.«

»Krew zakipiała we mnie. Pobiegłem zaraz do dworu, sam nie wiedząc czego, szalone myśli kręciły się w głowie, jak złe duchy w piekielnym kotle, ale nim dobiegłem, wieczorny wietrzyk ostudził krew rozigraną w starych moich piersiach, i nie do dworu, ale na cmentarz poszedłem. Tam upadłszy na mogile Artema, zacząłem go prosić ze łzami, by sam już bronił naszej drogiej Zoni, bo już ja nieszczęsny rady nie widzę, a człowiek zły z serca mi ją wydziera.» (D. c. n.)

Rozmaitość.

* **Sławny okulista.** Do jednego z najsławniejszych okulistów przyjechała pewna dama, i skarżyła mu się na ból oczu, a można było po niej zaraz poznać, że była bogata. Lekarz opatrzył jej oczy, potrząsł głową, i mówił, że leczenie wiele czasu i kosztów wymagać będzie, gdyż może łatwo rozwinąć się katarakta, i radził jej, aby ze wsi do miasta się przeniosła, bo tylko wtedy za spieszne i skuteczne leczenie ręczyć może. Pani ta więc najęła

eleganckie pomieszkanie, okulista odwiedzał ją jak najregularniej i najczęściej zapisywał różne wody i maści, ale tygodnie upływały, nakoniec i miesiąc jeden i drugi a skutków leczenia nie było można poznać pomimo pocieszania okulisty. Chora wpadła więc na dziwny koncept, i nie leniła się z wykonaniem. Wyżyczyła sobie podarte suknie, zasadziła na głowę czepek ogromny z szlarkami, i z parasolem w jednej a koszem na drugiej ręce, w słotę udała się do okulisty. Tak była zmienioną i zeszpeconą, że nawet kochanka oko jejby niepoznało. Długo czekała w przedpokoju śród mnóstwa innych ubogich, nareszcie i na nią kolej przyszła. — A cóż wam kobieto? — zapytał okulista. — Oczy mię bolą, panie konsyliarzu. — Proszę pokazać, i przystąpił z nią do okna, popatrzył się jej w oczy, ale nie poznał osoby. — Ale cóż chcecie kobieto, wasze oczy zdrowe.— Zdrowe? — Tak jest, wiem przecie, co mówię. — Ależbo panie konsyliarzu, mówiono mi, że dostanę kata...ra...ra — Aha! katarakty, nie bójcie się, wasze oczy trochę słabe, ale to bajka. — Ale mój lekarz mówił mi... — Wasz lekarz jest osieł. — Panie konsyliarzu! — Po wiedzcie mu, że jest osieł, i dodajcie, że ja to powiedziałem. — Wtem mniemana służąca podniosła się i naturalnym głosem odpowiedziała mu: Pan jesteś moim lekarzem, nie poznajesz mnie?—Łatwo sobie wystawić, jaką na to minę zrobił okulista. — Łaskawa pani dobrodziejko, — począł wyjąkiwać, ale pani dobrodziejka już drzwiami zatrzasła i wróciła na wieś.

* **Znakomici pisarze francuscy.** W żadnym względzie ostatnie francuskie rewolucye tak wielkiego a poniekąd smutnego wpływu nie wywarły, jak na literaturę. Wielu najsławniejszych pisarzów francuskich zaplątało się w sprawy polityczne, w których świetne role odgrywali, a nakoniec zmuszeni byli, albo opuścić ojczyznę albo usunąć się z widowni świata. *Wiktor Hugo* dziś jest wygnańcem, i pisze pod opieką angielską na wyspie Jersey. Czasem napotkać można w Paryżu męszczyznę skulonego, smagłego, jakby był potomkiem mieszkańców z głębi Afryki, u którego kolor włosów ledwie już rozpoznać można; — jestto *Aleksander Dumas*. Ulubiony ten powieściopisarz mieszkał do niedawna u swojej córki w Maison d'Or na bulwarze, obecnie najął domek na Rue d'Amsterdam.

Wieczorem zobaczyć można w kawiarni „Divan," gdzie się literaci najliczniej zgromadzają, starca ułomnego, który ledwie na nogach utrzymać się zdoła; mówią że to sławny krytyk *Gustaw Planche*. Autor «Cinqmars» *Alfred de Vigny*, głowę jeszcze trzyma prosto, jest elegancko ubrany, i nieopuszcza żadnego posiedzenia w «Academie française;» włos długo zapuszczony daje mu postawę starożytnego Franka, ale niestety włos ten już pobielał. *Emile Deschamps* zagrzebał się w Wersalu i chodzi jak Candide pilnie koło swego ogródka; podczas gdy *Sainte-Beuve* oddał się dziennikowi «Moniteur Universel» i pisuje nudne wstępne artykuły, które chyba na prowincyi cierpliwych czytelników znajść mogą. *Paul Lacroix* już zapomniany, równie jak brat jego, który sławny był niegdyś jako powieściarz i autor dramatów, i z kuzynką Balzaka się ożenił. Z koryfeów literatury francuskiej niezaniechali swoich zatrudnień jeszcze li tylko *Guizot, Villemain, Augustin Thierry i Victor Cousin*, ale i ci chylą się już ku ziemi i niewiedzieć, czy następców zostawią.

Przyjechali od dnia 20. do 22. października do Lwowa:

PP. Niezabitowski Włodzimierz, z Koropusza. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Winnicki Hipolit, z Tarnopola. Brzeziński Józef, z Horodyszcz. Pietruski Teofil, ze Stryja. Grodzicki Stanisław, z Bzianek. Stadnicki Kazimierz, hr. z Brzeżan.

PP. Barański Karol, z Chłopczyc. Krasicki Kazimierz, hr. z Krakowa. Łoś Tadeusz, hr. Narola. Konopka Henryk br., z Mikuliniec. Majewski Jan, z Tarnopola. Wysocański Aleksander, z Jakimowa. Romaszkan Zygmunt, z Uherska. Gizowski Kazimierz, z Przemyśla. Kalinowski Władysław, hr. z Bakowiec. Mochnacki Antoni, z Bóbrki. Brześciański Sylwester, z Rustweczka. Engel Michał, z Milczyc. Nanowski Aleksander, z Koniuszek. Szymanowski Szymon, ze Spasowa.

Wyjechali od dnia 20. do 22. października ze Lwowa:

PP. Korzeniowski Aleksander, do Machnowa. Potocki Stanisław, do Gajówa. Zawadzki Józef, do Stryja. Nowosielski Ludwik, do Zbory.

PP. Drohojowski Józef, hr. do Balic. Morawski Konstanty, do Przemyśla. Zawadzki Stanisław, do Żółkwi. Zawadzki Józef, do Rawy. Dobrzański Stanisław, do Daszowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Medyolan za 300 lirów	$118\frac{3}{4}$.
Augsburg za 100 złr.	$122\frac{3}{4}$.	Paryż za 300 franków	142.
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$120\frac{1}{2}$.	Srebra agio	22.
Genua.	—.	Pożyczka 5% $84\frac{1}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$73\frac{1}{2}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	$89\frac{1}{8}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1230.
Liwurno.	—.	Kolej północna . . .	—.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 48.	Obl. ind.	—.
Marsylia	—.	Nowa pożyczka z loteryą	97.
		Pożyczka narodowa . .	$87\frac{9}{16}$.

Dzisiejszy. Kurs lwowski.	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr	5	kr.	48
Dukat cesarski	„	5	„	50	„	5	„	53
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	4	„	10	„	10.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	56	„	1	„	17.
Talar pruski	„	1	„	50	„	1	„	52.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	24	„	1	„	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	85	„	38	„	86	„	—.

Obligacye indemnizacyjne bez kuponu 73. 30 do 74 Złr. 18 kr.

Lwów 23. Październ. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 29 złr. — kr. do 32 złr. — kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 26 złr. 30 kr. Jęczmienia po 18 złr. 20 kr. do 19 złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Grochu po 26 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 17 złr. 30 kr. do 18 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 40 do 9 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 28 złr. 45 kr. do — złr. Sosnowego po — złr. kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 1 złr. 53 kr. do 2 złr. 30. kr. Centnar słomy 1 złr. 53 kr. do 2 złr. 22. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**